

## W S T Ę P

Wy, którzy jeszcze Ją widzicie z bliska,  
Wy, którzy jeszcze czujecie na twarzy  
Rozmokłą w deszczu woń pogorzeliśka,  
Bijącą z gruzów domowych ołtarzy,

Wy, co z Warszawy imieniem łączycie  
Obrazy bólu pełne i ogromne,  
Wy, niech mi wolno wierzyć, wybaczycie,  
Że Ją wam dzisiaj młodzieńczą przypomnę.

Wiem, że w historii tej nieraz wypadnie  
Rwący się wątek dobrotliwie śledzić,  
Bo płacz ze śmiechem łączę nieporadnie,  
Jak ktoś, kto naraz wszystko chce powiedzieć.

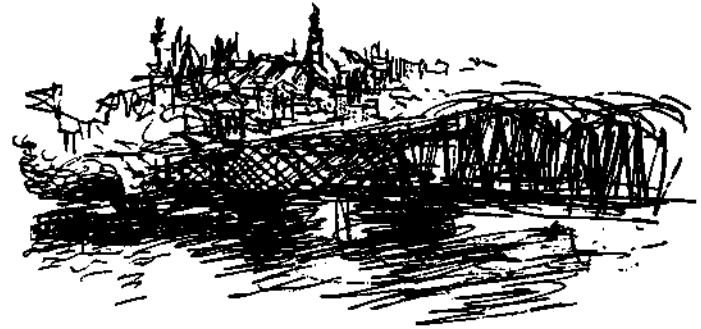
Strach nam pod ziemią ukrywać się każe,  
Lecz strach nie mija, kiedy dzień odsłania  
Jakże zmienione nasze szare twarze  
W krzywym zwierciadle wojny i wygnania.

Do Rosji mroźnej czy Ameryk obu  
Rozwiał nas wszystkich wiatr po wielkim świecie.  
Łzą i uśmiechem wierni aż do grobu,  
O przyjaciele, wy mnie zrozumiecie...

Nie dla nas idzie i nie nam się zmienia  
Świat w piorunowych gromach i burz świstach.  
Nam pozostały już tylko wspomnienia  
Albo westchnienia w beznadziejnych listach.

Gdy dziejów dramat rozgrywa się oto  
W ciemnych arenach od łez i krwi śliskich,  
Oczy odwracam z najczulszą tęsknotą  
Do rzeczy małych, dawnych, sercu bliskich.

*Londyn-Tring*  
1940—41

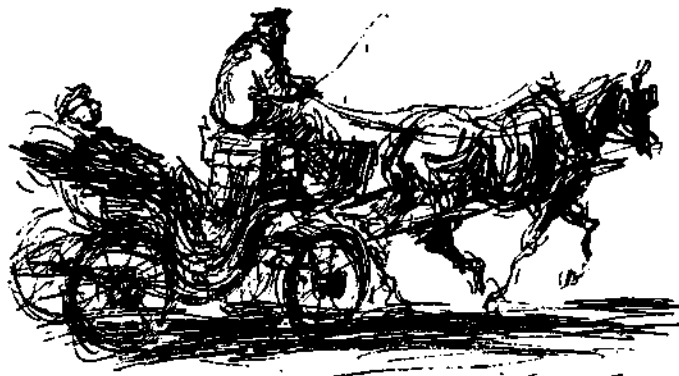


Zadudniła po bruku drynda jednokonna,  
I cisza. Wieczór ciepły. Tramwaj huczy, dzwoni.  
A znad Wisły, ze stacji Most – Wawer – Jabłonna  
Słysząc, jak gwizdże kolej. Ktoś gra na harmonii.  
Czeremchy pachną mocno. Znad wiślanej lachy  
Wszedł księżyc i posrebrzył staromiejskie dachy.

Stańmy chwilę na moście. Tędy zawsze z bratem  
Biegliśmy do kąpieli. Ten sam zapach wody.  
A na róg do cukierni, tuż za Mariensztatem,  
Już z tobą, moja miła, chodziłem na lody,  
A na Zamkowym placu w innej cukierence –  
Pamiętasz? – całowałem pierwszy raz twe ręce.

Szumiał wiosną wiatr ciepły, a gdy lody przysły,  
Szliliśmy patrzeć na wody wzburzone i rwące.  
Złota, gliniasta fala zbuntowanej Wisły  
Niosła wyspy zielone, wyspy pływające.  
Wierna rzeka domowa, strumieniu urody,  
Ach, jakże nas zdradziły twe szerokie wody.

Nie szumiałaś wezbrana falami jak gniewem,  
Kiedy żołnierz się cofał za armią rozbitą.  
Pod gorącym wrześnieowym, nienawistnym niebem  
Pastuch przepędzał krowy przez twoje koryto.  
Nie było ciebie gniewnej i w wody obfitej –  
Tej jesieni ostatniej w Rzeczypospolitej.



Podróżny, do Warszawy jadąc z strony praskiej,  
Nie wpada wprost ze dworca w samo centrum miasta,  
Nie świecą mu neonów kolorowe blaski,  
Lecz za to miasto przed nim powoli wyrasta,  
Cichsze, ciemniejsze nieco, nie tak hafaśliwe,  
Lecz za to bardziej swojskie i bardziej prawdziwe.

Drynda Zjazdem pod górę wlecze się ospale.  
Po lewej w dole puste śpią targowe kramy,  
Po prawej Zamek spada do Wisły wspaniale,  
A kolumna Zygmunta w środku panoramy  
Oddziela noc zapadłą już na Starym Mieście  
Od blasku, którym świeci Krakowskie Przedmieście.

Muzyczka bije z barów, tango czy sztajerek,  
Tłum sunie po chodnikach, szumi fałą zwartą,  
A po obydwóch stronach domów ciemnych szereg,  
A przed każdym przystanąć i podumać warto,  
Bo każda cegła, z których taki dom się składa,  
O jakichś własnych naszych sprawach opowiada.

Było trochę prawdziwych, piękniejszych pamiątek,  
Któreśmy utracili przez opór szaleńczy –  
Ale z tego szaleństwa zrodził się początek,  
A koniec – koniec dzieło to chwałą uwieńczy.  
Tak sobie dzisiaj oto w ogromnym Londynie  
O naszej i o waszej rozmyślam ruinie.

Urocze pałacyki londyńskie Adama  
W gruzach leżą jak domy zburzone w Warszawie.  
(Adam, słynny architekt, jemu panorama  
Londyńska winna wiele – rzec by można prawie,  
Że stolicę wysp, lądów i zamorskich krain  
Adam kiedyś zbudował, a dziś burzy Kain.)



Odbuduje się Londyn, Warszawa podźwignie.  
Przyjdzie pora na gruzach pomniki postawić.  
Chociaż zgasną pożary, lecz żar nie wystygnie  
I długo nas ten ogień będzie jeszcze trawić.  
Ufajmy, że zło wszelkie aż do dna wypali,  
A to, co było godne, od gniewu ocali.

Nie wiem, kogo Warszawa przeklnie czy zapomni,  
Lecz w sercu długo jego zachowa jednego.  
Nie giną bez pamięci tak jak on niezłomni.  
Stanie kiedyś w Warszawie pomnik Starzyńskiego,  
Który wiernie stolicy jak nikt inny służył,  
Dumnie ją rozbudował – jeszcze dumniej zburzył.

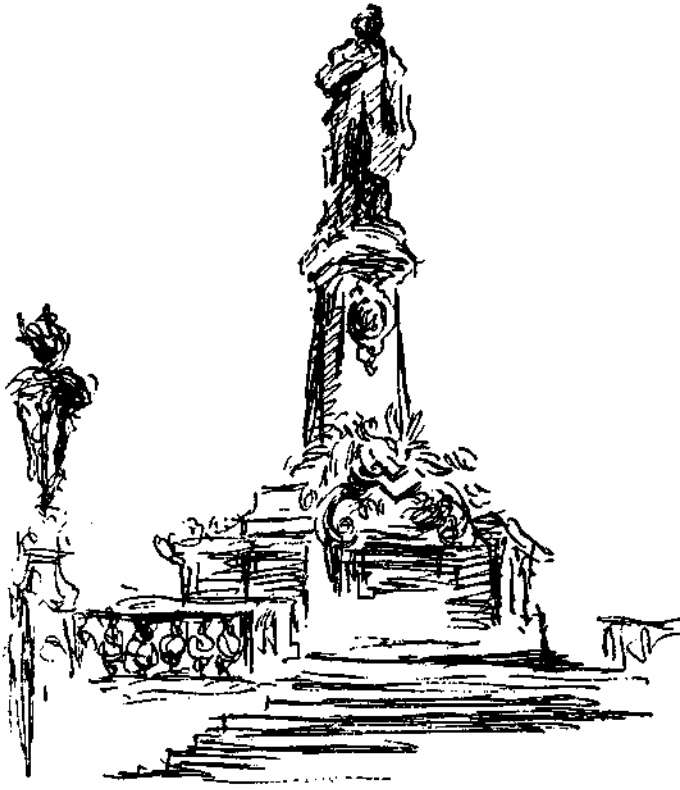
Wjeżdżamy przez Krakowskie w kraj wspomnień uroczy,  
Znowu witam Warszawę dawną, miłą, starą.  
Zapomnijmy o wszystkim i zamknijmy oczy –  
Jedź, stara dryndo, tocz się, warszawska landarol!  
Wszystko jest tak, jak było na tym Bożym świecie.  
Ot, z podróży wracamy znów na własne śmiecie.

Jak my kiedyś wrócimy? Którymi drogami?  
Jedni śmiało, gromadnie, przyjdą z bronią w rękę,  
Inni wrócą samotnie, drżącymi rękami  
Serce ściskając pełne radości i lęku,  
I z uśmiechem nieśmiałym, z pochyloną głową,  
Czekać będą na bratnie powitania słowo.

Czy twarz twoja, mój bracie, zszarzała cierpieniem,  
Czy usta twe zacięte goryczą i wzgardą,  
Rozchyłą się, rozjaśnia serdecznym wzruszeniem?  
A może patrzeć będziesz spokojnie i twardo,  
Obcy, zamknięty w swoich wspomnieniach i dumie,  
Jak ten, co milczeć woli, bo kłamać nie umie.

Każdy z nas o tej chwili myśli i rozważa,  
Jak to będzie i kogo z najbliższych odszuka,  
A może nawet mogił śladu i cmentarza  
Nie znajdzie, a gdy do drzwi rodzinnych zapuka,  
Obcy ludzie otworzą, przypatrzą się z bliska,  
Pomyślą – nie, nie wiedzą, nie znają nazwiska.

Przez Krakowskie Przedmieście leniwym truchcikiem  
Jadąc musisz przystanąć i pochylić głowy  
Przed jednym, niezbyt pięknym właściwie pomnikiem,  
Gdzie Mickiewicz, jak pewien określił wojskowy,  
Przyjmuje defiladę codzienną Polaków,  
Stojąc w pozycji „spocznij” z ręką na temblaku.



O warszawskich pomnikach z humorem beztróskim  
Opowiadał żarciki narodek wesoły.  
Pamiętam, że mówiło się o Poniatowskim:  
„Widać nie był w legionach, bo dzisiaj jest goły”;  
„Bogusławski uchyła grzecznie kapelusza  
Przed teatrem, lecz tyłem stoi do Ratusza”.

Stolica się nie szczyści przeszłością ojczyzny,  
To nie Kraków, gdzie kamień każdy to pamiątka.  
U nas na Świętokrzyskiej, gdzieś w składzie starzyzny  
Znajdzie się czasem książka, rycina, pieczętka,  
Portret Bacciarellego, obraz Canaletta,  
Lecz reszta w antykwarniach to sama tandeta.

W oknie fałszywy ryngraf, kindżał autentyczny,  
Zniszczone książki szkolne i modne powieści.  
Odnalazłem tam kiedyś napis lakoniczny,  
Co w paru słowach całe nasze dzieje mieści,  
Pod starym pięknym sztychem koślawe litery:  
„Okazyjne – Kościuszek skacze do Estery”.

Na pomnikach wyniosłych stoją po Warszawie  
Wielkości w brąz lub marmur ubrane przed laty,  
Lecz jeśli żywej jakiegś chcesz się przyjrzyć sławie,  
To znajdziesz ją w kawiarni – marmurowe blaty  
Cokołami są dla tych czcigodnych popiersi;  
Tak się z plebsem mieszają w narodzie najpierwsi.

Różne były kawiarnie modne i cukiernie,  
W każdej epoce w innym jakimś pokoiku  
Perorował warszawski apostoł i wiernie  
Gromadził swych wyznawców przy wspólnym stoliku.  
Przy pół czarnej, wśród dymu, w palcie, w kapeluszu,  
Gadał, bzdurzył, kpił, szydził, pełen animuszu.

Nie każdy już pamięta, czym był Semadeni...  
Zaniedbując pacjentów – wiem, że „pod filary”  
Biegł mój ojciec, gdzie razem siedzieli stłoczeni  
Rapacki, Roland, Frenkiel i Leszczyński stary,  
Malarz Lenz, czasem zairzał Lasocki ogromny,  
Albo szczupły Franc Fiszer, młody, cichy, skromny.

Ojciec mój szanowany był „pod filarami”  
(Każdy stary warszawiak go ode mnie woli),  
Żyła kiedyś Warszawa jego dowcipami  
W dawnych czasach pocziwych moskiewskiej niewoli.  
Piękny profil miał młody pan doktor Słonimski,  
Mniej może katolicki – ale bardziej rzymski.



Pustymi ulicami przechodzę szczęśliwy  
Przez Warszawę gorącą, niedzielnie omdlałą.  
W popołudniu czerwcowym płynie żałośliwy  
Gdzieś z daleka litanii śpiew. To Boże Ciało.  
W pustej Ziemiańskiej kelner leniwie się włóczy,  
I Fiszer osowiały, fajkę czyszcząc, mruczy.

Był na świetnym obiedzie i jeszcze wspomina  
Każdy szczegół kolejnie. Śledziki z śmietaną,  
Majonezy, pieczarki i klopsiki z lina,  
Lecz zapomniał – o wstydzie! – jaką zupę dano.  
Grzybową czy szczawiową? Coś się pokręciło...  
Wreszcie krzyknął do siebie: „Wiem, zupy nie było!”

Wyszedł z ulgą z cukierni, Mazowiecką kroczy,  
Spotkał kogoś – spojrzeniem jak biczem go zdzielił  
I mruknął, zza binokli złe wlepiając oczy:  
„Ten bydlak mi się w nocy dziś przyśnić ośmielił,  
Cóż za bezczelność, nietakt nie do darowania,  
Wkraczać w dziedzinę cudzych snów bez zapytania”.

Franc Fiszer, trochę żarłok i trochę gaduła,  
Opryskliwy jest nieco, kiedy dobrze nie zje,  
Lecz zawsze ten warszawski pyszny Gargantua  
Cięty był i dowcipny, czuły na poezję.  
Jeśli Bóg humor ceni, to w niebie Franciszek  
Co dzień zupę ma dobrą i pełny kieliszek.

Patrz, Franciszku! Już w złotym pyłe popołudnia  
Płynie zmierzch, gwiazdy srebrne na niebie rozpala,  
Westchnieniami, szeptami ulice zaludnia,  
Słodki zapach akacji przywiewa gdzieś z dała.  
Już w Alejach grą świateł i splątanych cieni  
Elektryczne latarnie błyszczą wśród zieleni.

Oczy nasze spragnione są światła neonów,  
Neonów zapomnianych i wystaw sklepowych,  
Okien płonących nocą, otwartych balkonów  
I latarni wśród liści blasków brylantowych.  
Chociaż to nie tak dawno, dopiero od roku,  
Przywykliśmy się w miastach snuć jak widma w mroku.

A przecież dziś strąceni do krainy cieni,  
Sięgamy głębiej wzrokiem i widzimy lepiej,  
Niż wtedy gdyśmy nocą i światłem szaleni  
W blasku miasta ogromnym bładzili jak ślepi.  
Noce warszawskie! Szumne, jasne, hałaśliwe!  
I chłodne świty blade, poranki trwożliwe.

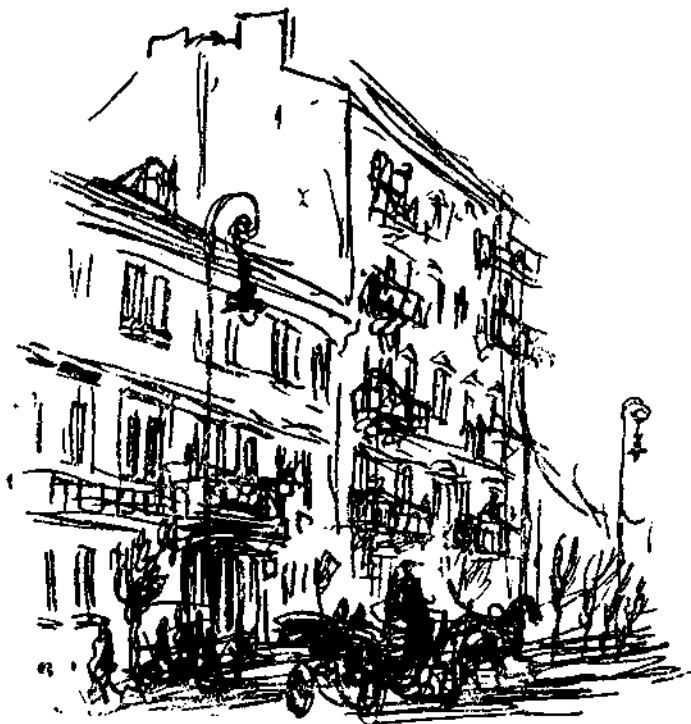
Księżyc jeszcze nie poddał swojej srebrzystości,  
Jeszcze trwa sierpem ostrym wcięty w niebo ciemne.  
Przecierany chmurami na nieba wklęsłości,  
Nie da się zetrzeć, zepchnąć i strażę nadziemne  
Sprawuje, gdy już z nieba ogromnych obszarów  
Chmury niosą purpurę słonecznych pożarów.

Wiatr zerwał się i niesie gazety podarte.  
Jak duchy w pustce ulic płyną miejskie śmieci.  
Już ranek. Niebo modre, zielenią przetarte,  
Łagodne, czyste, blade – a jeszcze się świeci  
Czerwony neon knajpy obcy i rażący,  
Jak zmarnowanej nocy wyrzut gorejący.

Jedzie pustą ulicą, wolno krok za krokiem  
Chłop na furze i w chustce skulona dziewczyna.  
Tu jeszcze mrok odnajdziesz. Tu spotkasz się z mrokiem.  
Bo w tych oczach tkwi zimna podmiejska noc sina.  
Jedzie miastem chłop polski, żeby wóz ziemniaków  
Za garstkę soli sprzedać ku chwale Polaków.

„Byczo, wodzu kochany! Jazda do «Bristolu».  
Albo wicie co, wodzu? Na Gnojną do Joska,  
Za miasto do «Sielanki!»”. A za miastem w polu  
Wlecze się szarą miedzą szara polska troska.  
A w „Sielance” koniaczek – duszkiem po pół szklanki.  
My jesteśmy Słowianie, lubimy sielanki.





Zamyślony, bezwiednie z Niecałej ulicy  
Skrećam w bramę znajomą. Wejdzmy choć na chwilę,  
Bo tu na drugim piętrze starej kamienicy  
Zostawiłem rzecz drobną. Było tego tyle,  
Ile się w piersi ludzkiej pomieści z łatwością:  
Małe serce dziecinne bijące miłością.

Katarynka w podwórzu gra wiedeńskie walce.  
Złote słońce czerwcowe już łagodniej grzeje,  
Tylko patrzeć, za chwilę, jak u Prusa w „Lalce”,  
Izabella powozem wyjedzie w Aleje.  
Ktoś przez luźnik wyrzucił kopiejkę w papierku,  
Spadła w gęste bzów kiście, co kwitną na skwerku.

W saloniku, jak dawniej, pluszowe krzeselka  
Secesyjnie wygięte w dziewięćsetne lata,  
Pocziwych lamp naftowych zakopcone szkiełka,  
A na stole w jadalni ogromna cerata.  
Okna już nieco żółkłą przykryte firanką,  
Najzwyklejsze na świecie warszawskie mieszkanko.

Zwyczajnie było może, lecz tylko z pozoru.  
W istocie w tym mieszkaniu dziwne było życie:  
W ceratowej kanapie czarnego koloru  
Mieszkał chciwy – Kanapon, a zaś po suficie  
Biegał mały pan Pimper, zręcznie się przemykał,  
Lecz gdym oczy podnosił, to natychmiast znikał.

Chociaż umiał się schować, umknąć lub zeskoczyć,  
Ojciec widział go zawsze. Mnie się nie szczęściło.  
Starałem się go szybkim spojrzeniem zaskoczyć,  
Nagle wznosiłem oczy – lecz już go nie było.  
Kanapon kradł przedmioty, zwłaszcza scyzoryki,  
I chował je w kanapę albo w foteliki.

Bracia Polatkiewiczze w przedpokoju stali.  
Siedmiu różnej wielkości, każdy z czarnym wąsem.  
Ojciec z nimi rozmawiał – nie odpowiadali.  
Matka o tych rozmowach mówiła z przekąsem.  
Gdym brał udział w dyskusjach z Polatkiewiczami –  
„Zwariowali” – krzyczała i trzaskała drzwiami.





Czasem zmierzchem zimowym w przedwieczornej porze,  
Gdy ojciec ostatniego przyjmował pacjenta,  
W kuchni wielkiej, ogromnej, jak na wsi we dworze,  
Czekałem w niepewności, czy o mnie pamięta.  
Pamiętał. I siedzieliśmy, w ogień wsłuchani,  
Na zielonym kufierku Klimci albo Frani.

W środku w kufierku Frani, kiedy się otwierał,  
Przyklejone obrazki oglądałem święte.  
Lecz był tam również Nogi – japoński generał.  
Dziś mi się to wydaje trochę niepojęte,  
Lecz wtedy tę rycinę dosyć niebanalną,  
Tę jedną uważałem za rzecz naturalną.

U nas chłopców Japonia w wielkiej była modzie.  
Czytaliśmy o wojnie, z żywym serca biciem,  
A gdy pokój zawarto na Dalekim Wschodzie,  
Ojciec rzekł, że to „pokój z japońskim obiciem”.  
Zarcik ten mnie powiedział i obu służącym  
I wyszedł do cukierni w cylindrze błyszczącym.

W poczekalni na dole, rudawy, brodaty,  
Siedział u ojca lichwiarz, czekając cierpliwie,  
Ażeby go pomęczyć sprawą prolongaty,  
Jakimś wekslem czy żyrem, chociaż już właściwie  
Dawno wszystko odebrał, co miał na procencie,  
Ale się przyzwyczaił. Lubił to zajęcie.

Sam nie wiedząc przychodził już nie po należność,  
Lecz na rozmowy z ojcem, rozmowy, od których  
Złagodniał, stracił swoją lichwiarską drapieżność,  
I w oczach jego, dawniej ostrych i ponurych,  
Igrały nowe blaski naglej wesołości,  
Bo Żyd stary do świata nabrał ciekawości.

Czytywał w poczekalni podróż Livingstone'a;  
Chodził do bioskopu – jak na kapociarza  
Dziwny dosyć tryb życia. Przyszła kiedyś żona:  
„Pan doktor go zmarnował, to jest cień lichwiarza,  
On skapcaniał do reszty, on już nie pożycza,  
Czy pan wie, co on robi? Czyta Sienkiewicza”...

Za trumną mego ojca w żałobnym orszaku,  
Aż pod sam mur Powązek, w tłumie, popychany,  
Wśród darmowych pacjentów, biednych i żebraków,  
Włókł się ten stary lichwiarz – lichwiarz zmarnowany  
I został ku czci ojca, jak dowód prawdziwy,  
Gdzieś pod murem cmentarza ten kwiat osobliwy.



Kiedyś, gdy siostra odrę miała czy też różę,  
Oddano mnie na parę tygodni do dziadka.  
Miałem tam być przez miesiąc, lecz zostałem dłużej.  
Prawie rok przemieszkalem, nim się w końcu matka,  
Gdzieś między rautem, bałem, koncertem, kościołem  
Spostrzegła przerażona, że z domu zniknąłem.

U dziadka było cicho. Ogród za oknami.  
Zegar srebrzystym dźwiękiem godziny wybija.  
Tylko czasem o zmierzchu coś płacze za drzwiami,  
To stryj Józef na skrzypcach gra „Ave Maria”.  
Rękę bladą, przejrzystą – niemal już stuletni  
Starzec kładł mi na czoło w taki wieczór letni.

Przepłynął przez ocean ogromny – wiek cały.  
Zrozumiał gwiazd koleje i czasu rachunek.  
Znad ksiąg starych do nieba podnosił wzrok śmiały,  
Do dna chciwymi usty wysączył ten trunek,  
Co uśpił go łagodnie, gdy jednym westchnieniem  
Pożegnał świat i białym rozplynał się cieniem.

Sam jeden byłem przy nim, gdy zasnął snem wiecznym.  
I sam byłem w pokoju, gdy kres kładąc męce,  
Żegnając mnie ostatnim uściskiem serdecznym,  
Syn jego umarł, rękę trzymając w mej ręce.  
I choć wiem, że gdy przyjdzie ostatnia godzina,  
Nie będę miał tej wiernej, młodej ręki syna –

Ty, ojcze, dłoń mi podasz. Wiem, że spotkam ciebie  
Na polach elizejskich pod gwiazd blaskiem drżącym.  
Na kuferku zielonym – i on będzie w niebie –  
Siądziemy ręka w rękę w uścisku gorącym  
I osądzisz łaskawie wszystkie dobre czyny,  
A błędy mi wybaczysz i rozgrzeszysz winy.

Matka nocą wracała z fantowej loterii,  
Perfumami pachniało pudło czekolady.  
U ojca w gabinecie jakiś gość z Syberii;  
Ciche kroki za drzwiami, szepty i narady...  
Inne nas czasem nagle budziły alarmy.  
Stróż w gaciach i w kozuchu, a za nim żandarmy.

Gruchnął gdzieś na ulicy strzał rewolwerowy,  
Zadudniły po bruku kopyta czerkieskie...  
Krzyk urwany i cisza. Łomot nóg miarowy...  
Niespokojny sen miało to miasto królewskie.  
Tak bezduszne pozornie, wesołe, pogodne,  
Ale niepokonane i wolności godne.



Spod cylindrów, falbanek, tiurniur i mantylek  
Nagle gniewnie wyjrzała twarz, która przeraża.  
I gdy tłum, niemy, ciemny, na ulice wyległ,  
Patrz: podźwignięty twardą dłońią robociarza,  
Sztandar czerwony wolno ponad tłum wyrasta,  
I płynie śpiew posępny. Prawdziwy głos miasta.

Krwawi w naszej historii to miasto Okrzei  
Czerwienią swych sztandarów, świeci krwią Montwiłła.  
Padły trony i miasta – Ona bez nadziei,  
Ona jedna, Warszawa, Niemcom się broniła.  
Choć spalona, zburzona, chociaż w gruzach legła,  
Ale trwa, wierzy, czeka – sercem niepodległa.

Ach, jakże mi nie mówić o tych dniach radości,  
O tej chmurnej jesieni, gdy w szumiącym wietrze  
Szedł nad miastem rodzinnym pierwszy wiew wolności,  
Kiedyśmy pełną piersią pili to powietrze,  
Nocą w ciemnych Alejach stłoczeni szpalerem,  
Czekając, aż zapłonie świt nad Belwederem.

Jakże ciebie przywitać, radosna swobodo?  
I czym uczcić najpiękniej? Chyba tym uśmiechem  
I młodzieńczej poezji burzliwą urodą,  
Co szła śpiewem przez miasto i wracała echem.  
Witaliśmy wolności naszej dni najpierwsze,  
Pijąc przez całą noc, a w dzień pisząc wiersze.

Na Krakowskim w kawiarni w zadymionej sali,  
Na estradce niewielkiej, codziennie wieczorem  
Jacyś młodzi poeci wiersze swe czytali  
I uciszał się nagle tłum „Pod Pikadorem”,  
I szumiały Muz skrzydła w małej kawiarence,  
Gdy Lechoń kartkę z wierszem w drżącej trzymał ręce.



Julku miły i Leszku, drogi Jarostawie,  
Kaziu – wszystkich najczulej przyzywam z imienia,  
Płynęliśmy w płomieniach po gorącej lawie,  
Która stygła powoli w kamień zapomnienia.  
Dziś wyzuci z ojczyzny, po świecie rozwiani,  
Jakżeśmy znowu gorzko i mocno związani.

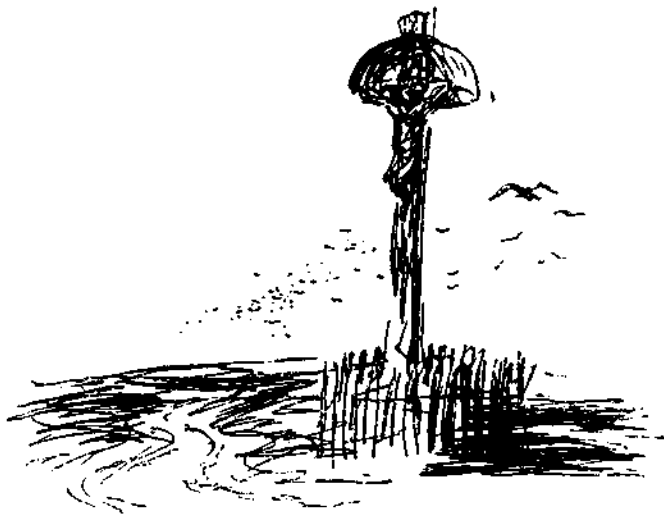
Pamiętam dzień premiery. Widzę przed oczyma  
Całą zgodną Warszawę w jednej małej salce.  
W czerwonej wchodzi sukni wyniosła Sulima,  
Strug siedzi z Nowaczyńskim, Berent przy Messalce.  
Dzwoniąc szablą od progu idzie piękny Bolek,  
Ulubieniec Cezara i bożyszczce Polek.

Było to, Leszku, temu lat dwadzieścia z górą.  
Pamiętasz, kiedyś tylko znał mój pseudonim –  
„Czy pan Prorok? – spytałeś. – Jestem Pawie Pióro”.  
Ale tego wieczora wyszedłeś z Antonim.  
I z Prorokiem chodziło już to Pióro Pawie  
Dwadzieścia lat szczęśliwych po młodej Warszawie.

W chwilach ciężkich, niedobrych lub bardzo przyjemnych  
Zbiegaliśmy się razem jak członkowie sekty,  
Niosąc wiersze i troski po tych schodach ciemnych,  
Na górę do redakcji, gdzie robił korekty  
Leporello sukcesów, powiernik sekretów,  
Doradca i reżyser, przyjaciel poetów.

Jak z dawnej fotografii patrzą na mnie twarze  
Szczupłe, drobne i sutym nie zarosłe życiem.  
Tych oczu i tych wspomnień nic już nie wymaże,  
Choć jak w wodzie wzburzonej zmaconym odbiciem  
Czas ten obraz rozwieje, splącze i wykrzywi –  
Tam żyjemy, w tych wierszach młodzieńczych, prawdziwi.

Pod drzewami szumiących warszawskich ogrodów  
Śaczyliśmy krew młodą w poezji szaleństwa.  
Tej jesieni, co wiosną była dla narodów,  
W pierwszy miesiąc miodowy z wolnością małżeństwa  
Tej naszej rówieśnicy, co kwitnąć urodą  
W dwudziestym roku życia umarła tak młodo.



Czas był piękny, i piękni byli w Polsce ludzie.  
Jeszcze stała nad nami mgła romantyczności.  
Słabi, ale radośni, jak po wielkim trudzie  
Nieśmiałym szliśmy krokiem po drodze wolności,  
Lecz mieliśmy odwagę i kark mieli twardy,  
Nim w błoto nie zepchnęły nas czasy pogardy.

Jeszcze Nike zwycięska Łazienkowskim parkiem  
Szła szeleszcząc skrzydłami wśród jesiennych krzaków.  
Jeszcze się roiło wrzaskliwym jarmarkiem  
Kunktatorów, statystów, lizusów, cwaniaków.  
Jeszcze się przed cenzorskim nie trzęsły obliczem  
Łazienkowskie satyry śpiewając z Kudliczem.

Jak szybko się historii odwróciła kartal  
Jeszcze wczoraj Warszawę Moskal dobroczyńca  
Obdarzał knutem z ręki carskiego bękarta,  
A już dzisiaj na plecach Żyda, Ukraińca  
Świszcze nasza rodzima pałka mocarstwowa  
Nie gorzej niż nahajka w ręku Suworowa.

Ach, czyś nigdy nie płakał, słuchając tych zwrotek  
O żołnierzu-tułaczku, co gnany zamiecią  
Szedł o głodzie do Polski? Czyś w kurzu bibliotek  
Zostawił „Tadeusza” i „Dziadów” część trzecią?  
Czyś już o tym zapomniał, że w młodości lata  
Wiersz pisany po polsku był sumieniem świata?

Nie dlatego dotykam tej bolesnej rany,  
Aby przeszłość osądzać. Bóg widzi, że winy  
Odcierpiał już po stokroć lud ukrzyżowany...  
Lecz gdy znowu na światło wyjdziemy z głębiny,  
Przysięgnij na tę mękę, na łzy, na ten cmentarz,  
Że teraz nie zapomnisz. Że teraz spamiętasz.

Zarosły choinami już warszawskie skwery.  
Jak las birnamski, przyszyły iglaste gęstwiny.  
W kramach srebrzyste kule i złote papiery,  
Świecą nici, łańcuchy lśniącej pajęczyny.  
Ach, jak pachnie po świętach smutno i szczęśliwie  
W garść zebrane z podłogi wyschnięte igliwie.

Z mroźnej pustej ulicy wchodzimy do baru.  
Dym bije, szkła na oczach mokrą mgłą przykrywa.  
Powoli się z gęstego wyłania oparu  
Biały obrus i złota wielka bomba piwa.  
Parzy bigos gorący, mrozi zimna czysta,  
Zanim się błogim ciepłem rozleje ognista.

Franc obrabia gnat wielki, mrużąc coś ze złości,  
Kraje nożem, je nożem, lecz widać oporna  
Jest nieco sztuka mięsa ogromna przy kości.  
„Nie za twarda, Franciszku?” – „Twarda, lecz wyborna”.  
Jaracz woła kelnera. Podbiegł do stolika:  
„Dla mistrzunia jak zwykle pod wódkę śledzika?”.

Warszawiak lubi zdrabniać. Bardzo specyficznie  
Brzmi warszawska „erbatka”, „wódeczka”, „ciasteczko”,  
Lecz ukochanym słowem plebsu jest „faktycznie”.  
„Właśnie proszę faktycznie śledzika dzwoneczko”.  
Lecz gdy grzeczność się kończy, to mocno wystrzeli  
Ten zwrot, co sugeruje nierząd po kądzieli.

Kelner, fryzjer czy andrus sili się wymyślnie,  
Akcentując „ę” wszędzie, gdzie go nawet nie ma.  
A tak zwany świat wyższy powtarza umyślnie  
Ten dialektik uliczny, i tak się obiema  
Krańcami tworzył w Polsce zjednoczenia obóz;  
Pan udawał łobuza, a zaś pana łobuz.

Już kelner pełną tacę niesie z zimnym „mięskiem”.  
Tego mięska z pięć kilo. Schabiki, szyneczki,  
Cielęcinka, indyczka, perliczka z półgęskiem,  
A w wodorostach kopru lód i ogóreczki.  
Prócz tego różnej barwy i różnych rysunków  
Słynnych warszawskich kiełbas dwanaście gatunków.

Krakowska i zwyczajna, sucha, serdelowa,  
Mortadela, kabanos, myśliwska, salami,  
Żywiecka i litewska, kadryl, pasztetowa.  
Z kapustą na gorąco, z rusztu, z kartofflami.  
Wybaczcie, że wyliczam te wszystkie frykasy,  
Lecz ojczyzna się składa także i z kiełbasy.



Jaracz, gdy sobie podpił, zachodził w kolizję  
Z towarzyszem przygodnym – choć nie bezpośrednio.  
Lecz miał dla swych rozmówców niepoehlebne wizje.  
Patrzył w oczy ponuro, głosem odpowiednio  
Malując słowa, mówił: „Widzę cię w nizinie,  
Ja, ptak, co ponad tobą, bracie, górą płynie”.

I cóż mógł cudzoziemiec zobaczyć w Warszawie?  
Niczym specjalnym przecież w świecie nie słynęła.  
Choćby patrzył się dla nas najbardziej łaskawie,  
Gdzie indziej lepsze znalazł gmachy i muzea.  
Musiałby mieszkać z nami i zjeść soli beczkę,  
Gdyby chciał nas zrozumieć i poznać troszeczkę.

Źle się wybrał, gdy u nas chciał znaleźć bogactwa.  
Pokazano mu „Adrię”, Łazienki i Rynek.  
Zdziwił się może trochę ilością żebractwa  
I niezliczoną armią ulicznych dziewczynek.  
Chwalił, owszem, przez grzeczność, ale wołał Kraków,  
Bo nie znał i znać nie mógł warszawskich dziwaków.

Czy widział Bazewicza? Słyszał o Cynjanie,  
Co kolumnę Zygmunta sprzedał wieśniakowi?  
Czy znał Baytla i Szustra? Tylko warszawianie  
Wiedzą, o kim tu mówię. Próżno przybyszowi  
Tłumaczyć, kim był Feliks Jabłczyński lub boski  
Książę na „pure nonsense'ach” Władysław Grabowski.

Kiedys Władzio, z goryczą trzęsąc siwą głową,  
Rzekł życiem zniechęcony, z dramatycznym gestem:  
„Gdyby tonący błagał o markę pocztową  
I u nóg mi się tarzał. Nie dam. Taki jestem”.  
I cóż, choć zacytuję takie jedno zdanie,  
Lecz wam z tego zaledwie przedsmak pozostanie.



Wrócić znów na Żurawia, Narbutta, na Smolną  
Na Krakowskie do Boyów zająć na pogawędkę,  
Pogadać mową własną, umowną, swawolną,  
Myśl posłuszną ubierać w słowa giętkie, prędkie!  
Gdy dom Boyów wspominam w najczulszej przyjaźni,  
Pierwsza rzecz, którą czuję, to jest zapach łąni.

Bo na dole w tym domu z dzieciństwa znajome  
Mieścili się kąpiele i łaźnia Fajansa.  
Wchodziło się w oparach przez schody dość strome  
Do mieszkania, gdzie zwykle sobotnie seansa  
Gromadziły przyjaciół, pisarzy, aktorów  
W gwarze rozmów i żartów, dyskusyj i sporów.

W korytarzu ogromna stoi ciężka paka  
I pod ścianą w jadalni – skrzynia wpółotwarta.  
W nich dobytek domowy: przekłady Balzaka,  
Diderota, Pascala, Moliera, Descartes'a.  
„Słówka” cienkie i grube, „porachunki” Fredry,  
Książki, od których w Polsce trzęsły się katedry.

Tu najbliższa rodzina: „Ojciec Goriot” stary,  
„Kuzynek Pons” poczciwy i „Kuzynka Bietka”.  
Romans czuły z Odettą, flirt z „Panią Bovary”.  
Samych tylko przekładów była z górą setka.  
Tak wyglądało z bliska, głupio przyczepione  
Do wielkiej pracy Boya, „życie ułatwione”.

Ze ścian patrzy Witkacy – demon zakopiański.  
Przy oknie wisi rzewny portret pani Zosi.  
Tak ją widział, z tym łokiem na czole, Wyspiański,  
I taką ją w „Weselu” družba w taniec prosi  
I porywa jak piórko lekką i panieńską  
Panią Zofię Boyową de domo Pareńską.



Właśnie wszedł Staś Baliński. Torcik pralinowy  
Zostawił w przedpokoju, bo jutro niedziela  
I z Antonim na obiad jedzie do Podkowy.  
Górka tłumaczy komuś, że w czasach Popiela  
Żyła jeszcze wśród ludu tradycja attycka.  
„A z kim żyła?” – spytała Irena Krzywicka.

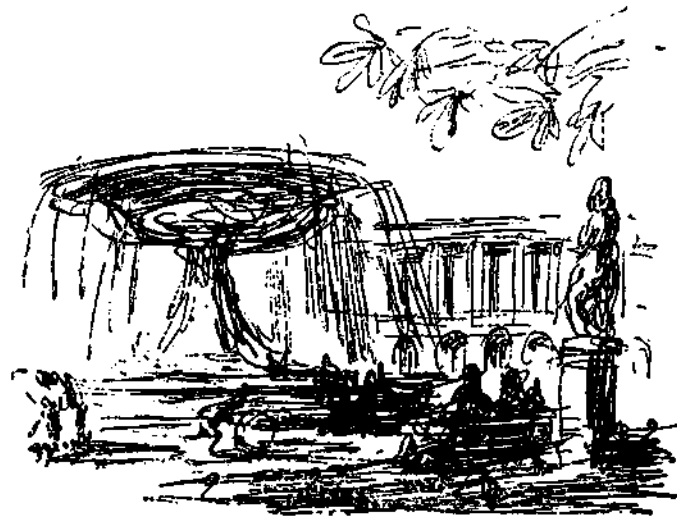


Fiszer głośno o starym słudze opowiada,  
Który tańcząc kozaka „skacze wściekle w górę,  
A potem niesłychanie powoli opada”...  
Rozejrzył się, skończywszy tę wspaniałą bzdurę,  
Poprawił się w kanapie i w milczeniu głuchym  
Sam jeden porykuje, trzęsąc wielkim brzuchem.

Tylko Boy mu wtóruje. W dobrym jest humorze.  
Zaśmiał się, nagle ucichł i pełen rozpaczny  
Głowę nisko pochylił i westchnął: „Mój Boże”.  
Kto zna Boya, wie dobrze, że to nic nie znaczy.  
Taką już ma naturę, że w momencie krótki  
Z rozpaczny wpada w radość, a z radości w smutki.

Lilka przyszła z uroczym swych wierszy tomikiem  
I martwi się o tatkę, czyli o Kossaka,  
Który dziś kiszkę jedząc połknął ją z patykiem.  
Wszyscy ją pocieszają, że niemądra taka,  
Że to głupstwo. – „Być może, że to minie po dniu,  
Ale to już jest drugi patyk w tym tygodniu”.

...Zdarła czasu zasłonę ręka tajemnicza,  
Odsłoniła ten obraz, znów jesteśmy razem.  
Widzę w śniegu za oknem pomnik Mickiewicza  
I gdy chciwie wzrok poję tym miłym obrazem,  
Rozwiewa się i ginie z oczu wyobraźni  
W szarej mgle zapomnienia i w oparach łaźni.



W szelkach i półkoszulku na twarde poduchy  
Zwalił się stróż pijany. Chrapie spod kurierka,  
Którym twarz sobie przykrył, bo w pokoju muchy.  
Fotografia Smosarskiej w ramie od lusterka,  
Syczoryk poczerniały na stole, serdelek,  
Brzytwa i parę pustych od piwa butelek.

Mokry, szary poranek leniwie obnaża  
Zarysy miasta mgliste na niebie błędnącym.  
Świt. Przed otwartą bramą stanął wóz śmieciarza.  
Wionęła woń zgnilizny ostrym smrodem mgłącym,  
Ciężko waląc butami w mrocznej ulic pustce,  
Idzie posterunkowy z prostytutką w chustce.



Zza węgla wypłoszone rogówki niemrawym  
Kłusem przebiegły szczute przez nocną oblęgę.  
Któraś zakłęła słowem soczyście plugawym,  
I tym słowem poranek przywitał Warszawę.  
Gwizdem syren fabrycznych, wrzaskiem prostytutek  
Budzi się dzień warszawski i warszawski smutek.

Już z Puławskiej i z Woli na miasto wylega,  
Sunie pod parkanami mroczny ludzki szereg.  
Domyślasz się go raczej, gdy uszu dobiega  
Bosych kroków szelestem i brzękiem manierek.  
Gdzieś zawył pies bezdomny, nim go złapał hycel.  
Na rogu stoi alfons, a na drugim szpicel.

Porzuć na chwilę złudne śródmięścia bogactwo!  
Zajrzyj w tę suterinę wilgotną i czarną,  
Gdzie się dzieci warszawskie gnieźdzą jak robactwo.  
Zejdź na Gęsią, na Bródno lub w dół przez Browarną  
W głębie ciemne, smrodliwe ludzkiego śmietnika,  
W tę przepaść, którą Judym znał i znał Baryka.

Bezrobotne, bezdomne wyrostki, nędzarze,  
Tłum cuchnący, zmarniały miasta pomiot wszawy –  
To oni śpią w ogrodach zmienionych w cmentarze,  
To oni, właśnie oni bronili Warszawy,  
Gdy tamci... Gdy my wreszcie tak samośmy zbiegli...  
I czegoż tak bronili, i za co polegli?

Jeśli tych dzielnic hańby pioruny armatnie  
Nie rozniosły i bomby nie zżarły ogniste,  
To niech te mury zwałą nasze ręce bratnie,  
Gdy czas przyjdzie wysoko pod niebo gwiazdziste,  
Na wolności prawdziwej jawny znak widomy,  
Dumnym łukiem strzelistym Szklane dźwignąć Domy.

I taką cię pamiętam, szara, robotnicza  
Warszawo pracy głodnej i śmierci ofiarnej.  
Lecz jeśli blask i cienie twojego oblicza  
Rysować mam prawdziwie – niech nie zbraknie czarnej  
Barwy twojej ponurej, gdy w oczach wyrasta  
Obraz inny i gorzki - obraz złego miasta,

A przecież nawet takiej dziś się nie ośmielę  
Obrzucić buntu wzgardą i gniewnym przekleństwem.  
Bo widzę cię tlejącą w zgliszczach i popiele  
Ogniem świętym – zbawioną na wieki męczeństwem,  
Połączoną braterstwem, bólem zjednoczoną,  
Życie moje i młodość – Warszawę straconą.

Ach, nigdy nie umiałem rozstawać się z tobą.  
Za morza uciekałem, krążyłem wśród stolic,  
Niecierpliwym turystą – za własną chudobą  
Tęskniący wśród bogactwa zamorskich okolic.  
Przerzucałem pośpiesznie kraje i stolice,  
Jak ktoś, kto barwne książki przerzuca stronicę.

Wystarczyło wyjechać na dzień do Podkowy  
I nocą letnią wysiąść zmęczony z tramwaju,  
Aby nagle zaskoczył jakiś urok nowy,  
Jakaś droga znajoma w nieznanym kraju,  
Nęcąca światła blaskiem i nocy błękitem  
I miłość wzbudzająca wiecznym niedosytem.

Miasto zmienia swą barwę, zapach i oblicze,  
Jeszcze wczoraj tak szare, smutne i kamienne,  
Nagle rankiem jak ogród kwitnie malownicze.  
Czy jest na świecie miasto, jak Warszawa, zmienna?  
Tak pełne niespodzianek, przygód i uroku,  
Tak zależne od światła i od pory roku?

Nie bieглиśmy za miasto na Zielone Świątki,  
Ale wieś szła do miasta umajonym szlakiem.  
Bramy, okna i schody, i wszystkie zakątki  
Przystrajano zielenią, wonnym tatarakiem.  
Domy warszawskie kryły brzydotę swych fasad,  
Według wojny lotniczej nowoczesnych zasad.

Znasz zapachy warszawskie? Woń farby olejnej  
W owocarni żydowskiej otwartej w noc ciepłą?  
Zapach trawy za oknem, kiedy z ręki chwiejnej  
Drżące pióro wypada, gdy już krwią zakrzepłą  
Na niebie lśni wschód słońca, i nagły poranek  
Głośnym ptaków świergotem woła zza firanek?

Czy pamiętasz w Ogrodzie kiosk z wodą sodową?  
Łabędzie na jeziorku i wielką fontannę?  
Te klomby i kasztany, w niedzielę majową  
Pachnące, gdy je słońce złociło poranne?  
Każda wiosna, gdziekolwiek odnajdę jej blaski,  
Pachnie mi tak, jak pachniał młody Ogród Saski.

Pamiętam, gdym był dzieckiem, zamiast do Ogrodu,  
Służąca do kościoła co rano szła ze mną.  
I dzisiaj jeszcze czuję kamienną woń chłodu,  
Kościelny przedsmak śmierci. Widzę nawet ciemną  
I długą smugę światła drżącą i różową,  
Co kładła się pod nogi plamą kolorową.

Na stropie w sztuczne gwiazdy usiany firmament  
Tonął w mroku liliowym, złoty i niebieski.  
Pamiętam szczegół każdy i każdy ornament  
Szaty, którą miał święty Antoni Padewski.  
Gdy oczy zamknę, widzę to wnętrze kościelne,  
Zimne co dzień, a duszne w poranki niedzielne.

Na Wielkanoc pachniały białe hiacenty,  
Gdyśmy szli zwiedzać groby po wszystkich kościołach.  
Pamiętam grootę ciemną, kamień odsunięty,  
Czerwony blask pochodni na srebrnych aniołach  
I kir na kandelabrach – oznakę żałoby;  
Takie były w dzieciństwie mym warszawskie groby.

Wyrosły nam te groby na uprawnych trawach,  
Pełnych niegdyś soczystej i pogodnej farby.  
Dzisiaj właśnie w ogrodach, w miejscu dawnych zabaw,  
Lekka ziemia dzieciństwa zjeżyła się w garby,  
Sfalowała grobami i gniewnym wgłębieniem,  
Jak czoło przeorane troską i cierpieniem.

Jeśli dziś chcesz na groby zaprowadzić syna,  
Nie trzeba kirów czarnych i kościelnej nawy.  
Jeszcze ziemia nie wyschła, jeszcze mokra glina  
Leży grudą niekształtną wśród wilgotnej trawy,  
Znajdziesz je w błocie, w gruzach, pod śniegiem, na piasku,  
Nie w złotym świetle gromnic, lecz w dnia szarym blasku.



I jakżeż w to uwierzyć? Jak się z tym pogodzić?  
Ze został tylko popiół, zgliszcza i świst wiatru...  
Ze już nigdy nie będę spokojnie przechodzić  
Koło domu mojego, Zamku czy Teatru?  
Nawet tego nie mogę: – jak syn marnotrawny  
Wrócić i czoło skłonić na domu próg dawny.

Zawsze odnajdę drzewa i kwiaty, i zioła,  
I topole szumiące, i polne ścieżyny.  
Nikt mi tych grusz na miedzy odebrać nie zdoła,  
Odnajdę łąki bujne i żółte łubiny,  
I wiatry porywiste, pachnące i mocne,  
I szare nasze wody, i niebo północne.

Lecz biada tym, co serce zostawili w mieście,  
Biada tym, którzy czołem do ruin przywarli.  
Już nie ma tego miasta. A choć wrócą wreszcie,  
Snuć się będą wśród żywych jak ludzie umarli  
Albo błądzić jak ślepcy, targani udręką,  
Wśród murów, których nie ma, z wyciągniętą ręką.

W ciemnych tajgach sybirskich, w kraju wiecznych mrozów,  
Czy w upałach pustynnych, czy w śniegu północy,  
Czy za drutem kolczastym niemieckich obozów –  
Jak wam się Ona, bracia, musi śnić po nocy,  
Jeśli tu w domu cichym pośród dobrych ludzi  
Dni zatruwa wspomnieniem, a nocą mnie budzi.

Przysłał mi ją Paryż wszystkimi czarami,  
Magią światła złotego, różowym obłokiem,  
Owiewał mnie wonnymi ciepłymi wiatrami,  
Ogłuszał ulic gwarem, bulwarów urokiem  
I spłynął w niepamięci, jak w odbiciu wody  
Przepływa srebrny obłok nieziemskiej urody.

Patrz. Za oknem angielska zieleń niezwalczona  
Trwa lekko przysypana szronem jak siwizną.  
Kwitną grudniowe róże. A przestrzeń zamglona  
Cierpliwie co dzień uczy tęsknić za ojczyzną.  
A wszak nieraz marzyłem właśnie, jak o raj, o  
O Anglii, kiedy trudno żyć mi było w kraju.



Znają dobrze z widzenia w Aylesbury na rynku  
Cudzoziemca, co wszystkie kupuje gazety.  
I wiedzą prości ludzie, tutaj w małym Tringu,  
Że ten pokój na piętrze to pokój poety,  
Co znalazł dach nad głową, chleb, uśmiech i ciszę.  
Że ten pan to jest Polak i że książki pisze.

Ciaży pochmurne niebo zimowe jak olów  
Nad starymi domami małego miasteczka.  
A wiatr przynosi zapach dymu i popiołów.  
Wiej, wietrze! Może zbierze się chociaż garsteczka,  
Choć tyle, by starczyło go do ust przycisnąć,  
Nim w cztery strony świata zdążysz ten proch cisnąć.

Wiem, że to wiatrów sprawa popioły rozwiewać,  
I twoja sprawa, wietrze, rozniecać pożary,  
W kwitnących drzewach wiosny szumieć, lkać i śpiewać,  
A jesienią drzew łamać umarłe konary.  
Kiedy wyjesz za oknem, skamlesz nocą ciemną,  
Wiem, czego chcesz ode mnie, o czym mówisz ze mną.

Nie zagłuszysz mnie wyciem gniewnego chaosu,  
Nie utulą mnie do snu twe pieśni zwodnicze.  
Przedrę się przez tę wrzawę łzami mego głosu,  
Srogi wicherze stuleci – ja ciebie przekrzyczę!  
Choćbyś chciał całą siłę przeciw nam obrócić,  
Tych popiołów nie zdołasz po świetle rozrzucić.

Z pożaru mego miasta, bólu i udreki  
Rośnie siła ogromna, co toruje drogi,  
Moc, co oręż wytrąca z gniewnej ludzkiej ręki.  
I nawet ta opowieść, i ten rym ubogi  
Ozdobi się w przyszłości jakimś listkiem sławy,  
Choć dlatego, że sercem bliski był Warszawy.

„Czytelnik”. Warszawa 1962. Wydanie I.  
Nakład 8 250 egz. Ark. wyd. 1,5; ark. druk. 3.  
Papier druk. zeberk. kl. III, 95 g, 82 × 104 cm,  
z PWPW. Oddano do składania 28.XII.61. Podpisano  
do druku 19.IV.62. Druk ukończono w maju 1962 r.  
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w W-wie.  
Zam. 9226. H-69. Cena 15.— zł.  
Printed in Poland